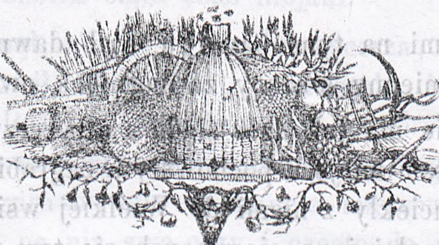
Tom XX.



Nr. 13.

1. Maja. 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kaplica Matki Boskiej Loretańskiej w Wojniczu.

Cztery mile za Bochnią a półtorej mili przed Tarnowem przy bitym gościńcu, wiodącym do Lwowa, w pobliżu Dunajca, leży nie wielkie miasto Wojnicz. Dawniej, jak piszą uczeni, istniał tu odwieczny zamek, w którym mieszkał kasztelan, bo Wojnicz z przyległościami stanowił królewszczyznę. W 1655 roku napadł w blizkości miasta Karol Gustaw, król szwedzki, na Stanisława Lanckorońskiego, hetmana polnego koronnego, zwycięża go po krótkiej walce, poczem wojsko kwarciane niegodnym rycerskiego umysłu postępkiem, wierność Szwedom poprzysięga. Szwedzi spalili miasto do szczętu, został tylko modrzewiowy kościół świętego Leonarda 1112 roku wystawiony, podziśdzień jeszcze stojący a w około miasta pozostały okopy, których ślad dotąd widzieć można.

Dzisiejszy kościół farny stanął daleko później.

W południowo zachodniej stronie miasta wznosi się od niepamiętnych czasów dotychczas nie zbyt wysoki pagórek,

pięknie zgrzybiałemi lipami okolony a jak z pokolenia w pokolenie niesie podanie, ma to być mogiła jakiegoś sławnego rycerza z owych czasów kiedy Szwedzi miasto zupełnie zniszczyli.

Między lipami na tym pagórku stał dawniejszemi czasy wielki krzyż kamienny, służący za nagrobek owemu rycerzowi.

Z krzyża nie ma już dziś śladu a o rycerzu mówi podanie, że go kobiety w tem miejscu pochowały a zagrabiwszy wszystkie jego bogactwa, uciekły z niemi do Wielkiej wsi, o ćwierć mili od Wojnicza odległej i na ciągnących się tam wzgórkach usypały okopy i schowawszy się za nie, kamieniami odpierały nieprzyjaciela.

Nasypiska te do dziś dnia się znajdują a wzgórza nazywają ludzie B a b i n i j a, inni b a b i e o k o p y.

Na zachodnio północnej stronie, na tak zwanych Wolicach stała znowu figura Matki Boskiej. W tem miejscu miało być małe miasteczko Zamoście drugie, które się jeszcze dziś nazywa przedmieściem i mieścina Skrzynki.

Gdzie zaś dziś leży Wojnicz, było Zamoście pierwsze czyli dolne a tamto górne. Nazwy te jak się zdaje pochodziły od mostu, który przez Dunajec zawsze prowadził do Tarnowa.

Trzy te mieściny razem nazywały się Trójnik, który gdy Szwedzi ogniem spustoszyli, powstało nowe miasteczko od wojny ze Szwedami Wojniczem przezwane. Przedmieścia jednak są dotąd nazywane: Zamoście dolne i górne. Wolice, jako osada mała, powstały w późniejszym czasie. Podczas konfederacyi zniszczały zupełnie i teraz tylko jeden dom liczą. Owoż z tego powodu przeniesiono z Wolic figurę Matki Boskiej na tak zwane bory czyli łąki i umieszczono ją przy studzience, loretańską nazwanej, z której woda ma być skuteczną na ból oczów. Przy przenoszeniu tej figury 1809 roku utrącono jej przypadkiem główkę i dla tego od owego czasu leżała na dolnem Zamościu pod płotem jako rzecz całkiem nieprzydatna.

Pewnego razu idąc koło płotu mały pastuszek z Łysej góry, wsi o milę od Wojnicza oddalonej, ogląda ową figurę i tak się wreszcie zasmucił, że postanowił dorobić jej głowę.

Jakoż w krótkim czasie dotrzymał słowa. Dorobił bardzo kształtną głowę, poczem figurę wywieziono do Zamościa górnego i ustawiono ją na pagórku, w tem miejscu gdzie się drogi krzyżują. I tu znowu stała czas niejaki.

Gdy zniknął krzyż z mogiły rycerza, w tym właśnie czasie postanowił Gądziński, staruszek bardzo pobożny, figurę Matki Boskiej przenieść na pagórek między lipy, żeby służyła owemu rycerzowi jako nowy nagrobek. Zgodzono się chętnie i figura na nowem stanęła miejscu. Ludzie z radością zwracali na nią swe oczy i często do niej przychodzili. Aby ją jednak uchronić od szkodliwego wpływu śniegu i deszczu, nakrył ją w 1827 roku nauczyciel wojnicki, Franciszek Tomżyński drewnianą kapliczką. Odtąd przychodziły tu procesyje na św. Marek a lud do tego miejsca taką miał wiarę i nabożeństwo, że się co wieczór zgromadzał i spiewał pieśni na cześć Boga Rodzicy, osobliwie podczas cholery 1830 i 1849 roku I dzisiaj spytaj niejednego z Wojnicza a pewnie ci powie:

— O gdyby nie przyczyna Matki Boskiej Loretańskiej nie żyłbym już na świecie!

W 1857 roku pobożna Emilia Lenkiewicz, żona podówczas naczelnika powiatowego, ofiarowała na okrycie Matki Boskiej ślubną suknie morową, a po roku złożyła na ręce księdza Galińskiego 100 reńskich w srebrze na odnowienie figury Najświętszej Panny. Kilku rzeźbiarzy oglądało w tym celu ową figurę, ale żaden nie chciał jej poprawić. Postanowił tedy ksiądz proboszcz odesłać ją do Krakowa do znanego rzeźbiarza Stehlika, ugodziwszy się z nim za odnowę na 60 reńskich. Niektórzy byli temu przeciwni i w tej właśnie porze kilkodniowa nastała burza a więc figurę zatrzymano. Ksiądz proboszcz zakupił za 100 reńskich drzewa na nową kaplicę, ugodzono ludzi do roboty, później wszakże zabrakło dalszego nakładu. Idzie tedy ks. Jan Pergis między ludzi i zbiera składki. Każdy duchem Bożym wiedziony, dawał co mógł i w krótkim czasie kaplica ukończoną została. Brakowało tylko malarza. W tem przychodzi do Wojnicza wędrowny malarz z Dittelsdorf z Mo-

*

rawy niejaki Jan Heinrich Tego więc godzą do malowania. Gdy atoli obaczył kaplicę, opowiedział następujące zdarzenie:

— Tego roku chorowałem niebezpiecznie. W chorobie widziałem pagórek i lipy a między niemi postać Matki Boskiej z twarzą brzydką i słyszałem głos: Jeżeli mię odnowisz wyzdrowiejesz. Wyzdrowiawszy puściłem się zaraz na trzeci dzień w podróż i przybyłem do Galicyi nie znając wcale tego kraju. Gdy teraz widzę tę figurę Matki Boskiej, przypominam sobie moje widzenie we śnie i podejmuję się ją odnowić i całą kaplicę odmalować.

Słowa te zeznał ów malarz w przytomności kilku świadków.

I stanęła wnet pięknie ozdobiona kaplica, której odnowienie przeszło 800 reńskich kosztowało, a co przytem uwagi godnego, że nawet żydzi na ten cel wsparcia nie odmawiali. Pomiędzy innymi odznaczył się izraelita Freund, właściciel młyna parowego tuż przy Dunajcu leżącego

Dnia 9. Grudnia 1858 roku odbyło się poświęcenie kaplicy przez J. ks. dziekana Feliksa Borkowskiego a nazajutrz przybyła tu z kościoła farnego uroczysta procesyja, na której przeszło 5000 ludzi znajdować się miało. Ksiądz proboszcz Galiński odprawił tu po raz pierwszy mszę świętą.

Od tego czasu często odprawiają się tu msze święte, lud ochotnie odwiedza miłą kaplicę Królowej niebios, gdzie prawdziwej doznaje pociechy.

Cieszmy się bracia, że na ziemi naszej nie ginie gorąca przodków naszych wiara, toż módlmy się szczerze, aby nam było inaczej.

A kto będzie przejeżdżał miasto Wojnicz, niech wstąpi do owej kaplicy a znajdzie tam oprawiony arkusz, na którym przeczyta, jak wam tu podaję podobnie opisaną historyję figury Matki Boskiej Loretańskiej i kaplicy dla Niej postawionej.

Józef z Bochni.

Szczygiełek ze zbioru pieśni o narodzeniu Pana Jezusa.

Zbywszy próżnych myśli z głowy
Szedłem w gaj bliski lipowy.
Gdy tam rymy tworzę sobie
O Twej matce i o Tobie.
Ten szczygieł do mnie przyleciał;
Więc gdy mi na ramię wzleciał,
Zacznie śpiewać; w tem do niego
Tak rzeknę śpiewającego:
Czego chcesz ptaszku pisany
Płaszczykiem pstrych piór odziany?
On tak powie: — proszę panie,
Niech to mam zawsze śpiewanie,
Weź mię, a zanieś do swego
Jezusa i Matki Jego.
Zanieś małego szczyglika
A oddaj mnie za muzyka.
Sam do Jezusowej ręki,
Będę latał i przez dzięki
Pod stołeczkiem tej dziecinki
Będę zbierał odrobinki,
I pić z kieliszeczka Jego,
Będę się ważył u niego.
A nie chcę służyć inszemu,
Do mej śmierci tylko Jemu.
Choćby też w czem urażony
Kazał mi lecieć w swe strony;
Wolę Go raczej przeprosić,
Niżli się indziej wynosić.
A tak Jezu ptaszka tego,
Dajęć dziwnie powolnego.
Gdy chcesz miej go za muzyka,
Gdy chcesz miej za służebnika.

X. Stan. Grochowski.

Szymon z Zawiśla.

VI.

(Ciąg dalszy.)

Smutną była dla całej rodziny ta pierwsza noc po powrocie Szymona do rodzinnej wioski.

Halka i Józef niecierpliwie wyglądali ranka, bo czy tak czy siak, zawsze człowiek we dnie prędzej sobie jak w nocy poradzi.

Skoro się tylko rozwidniło Józef pospieszył do dworu, kędy zawsze jeszcze najpierwsza ucieczka biednego kmiotka, z prośbą o radę dla chorego.

Pani, bardzo zacna i litościwa osoba, dała zaraz Józefowi lekarstwo dla Szymona i obiecała nawet odwiedzić chorego. Jakoż dotrzymała obietnicy jeszcze tegoż samego dnia, ale skoro tylko zobaczyła Szymona, który pomimo jej leków coraz większej dostawał gorączki, nic już sama radzić nie chciała, jeno czemprędzej kazała posłać do miasteczka po lekarza i nawet list do niego napisała z prośbą aby jak najprędzej przybywał.

Lekarz przybył niebawem i przy cudownej Boskiej pomocy, co nikogo a zwłaszcza biednego nigdy nie opuszcza, poratował Szymona i wybawił go od niechybnej śmierci.

Ale chociaż minęło pierwsze niebezpieczeństwo chory dalekim był jeszcze od zupełnego wyzdrowienia. Choroba Szymona nie małych wymagała starań. Oboje Józefowie pilnie chodzili koło niego we dnie i w nocy, bo po nocach nie sypiał a osobliwie też czuwała nad nim siostra już przez to samo że kobieta i bliższa mu sercem.

Wreszcie minęło dni kilkanaście, gorączka zaczęła Szymona stopniowo opuszczać, odzyskał sen co go znacznie pokrzepiło, a po trzech tygodniach to już widocznie polepszało się mu, choć zawsze jeszcze bardzo powoli.

Wróciła przytomność, już rozmawiał spokojniej i nawet wtedy nie odchodził od zmysłów gdy mu o Zośce mówiono; owszem sam się dopraszał aby mu opowiadano jej pożycie z mężem jej chorobę i śmierć, jakoteż i Pawła, z największą ciekawością wypytywał o wszystko, i słuchał opowiadania siostry z największą uwagą i jak się zdawało z zupełnym spokojem.

Gdy już więcej do sił przyszedł sam też opowiadał siostrze swoje przygody, swoje przybycie do Trzydniowa, swój kilkoletni pobyt w tej wiosce i wszystko co się tyczyło Marynki. Dalej zaś historyę swego nagłego powrotu do Zawiśla, mówiąc że gdy ujrzał łunę na niebie i kłęby dymu ogarniające kościółek w jego rodzinnej wiosce, prawie utracił zmysły i tak na oślep puścił się w pław przez Wisłę, a potem leciał bez upamiętania aż na miejsce pożaru, gdzie zastał ogień już ugaszony, poczem znowu nie mogąc się oprzeć pokusie, skradał się do tej chaty aby na Zośkę choć z daleka popatrzeć.

Później jakby go coraz więcej zajmowało to wszystko co widział w około siebie, nuż znowu wypytywać Józefa o gospodarstwo i opowiadać jak gospodarują w tamtych stronach gdzie on był. I z maleńką Zosią na wielką Halki radość, pobawił się nieraz, a dziecię choć miało ledwie pół roku, już rączki wyciągało i uśmiechało się do niego, co też Szymona niewymownie cieszyło i nieraz rozrzewniło go nawet do łez.

Ten spokój jednak jak o tem Halka przekonała się kilkakrotnie, nie był szczery ale tylko udany, powierzchowny.

Szymon nie chcąc martwić siostry i szwagra, którzy litując się nad nim, wszelkiemi sposobami starali się zagoić jego rozdarte serce, łudził ich pozorną spokojnością i silił się na obojętną rozmowę, na uśmiech nieszczery, ale w myśli miał ustawicznie jedno i to samo: Zośkę swoją której już nigdy nie miał obaczyć.

Tylko ci, co sami podobnego doznali losu, wiedzą co utracił, co czuł i jak cierpiał. Żal nieutulony, łzy w skrytości, cierpienia dla obojętnych niezrozumiałe są codzienną strawą takich biedaków. Długo, długo karmić się nią potrzeba, nim czas nierychły nie uśmierzy cokolwiek boleści, nie podgoi ran, po których wszakże dozgonne blizny zostają i z zawarciem powiek się kończą, pomimo złudzenia, jakiemu się niekiedy cierpiący poddaje. Nie pocieszysz takiego bo on w wszelkich pocieszeniach widzi tylko obojętność i zimne słowa, które więcej przykrości sprawiają, niż ulgi przynoszą — pocieszyć nikt nie potrafi -- Bóg tylko, przymusowe zajęcie się pracą i czas, zbyt nierychły, stają się ulgą w dalekiej przyszłości.

Szymon gdy się już o tyle pokrzepił że mógł z domu wychodzić, wlókł się na cmentarz; niewidziany przez nikogo rozwodził w skrytości żale swoje na grobie Zośki i to sprawiało mu niejaką ulgę. Powtarzało się to codziennie i Halka z Józefem napróżno usiłowali odwieść go od tego.

VII.

Właśnie pod tę porę w Zawiślu rozpoczęły się żniwa. Przy stałej i długotrwającej pogodzie, żyto i pszenica pięknie na pniu dojrzały i kmiecie cieszyli się bogatym plonem. Tu i ówdzie po polach długim szeregiem stają żeńcy do pracy, a choć pot leje się im z czoła, przyśpiewują sobie wesoło.

Świegotliwy skowronek wtoruje im dźwięcznym głosem i wzbijając się pod obłoki coraz wyżej i wyżej, przypominać się zdaje komu za ten chleb święty dzięki składać należy.

Parobcy i dziewki wśód śmiechów i żartów wyprzedzają się na zagonach, sierpy raźno pomykają coraz dalej i dalej, na

polach coraz większe widać pustki a stodoły i brogi coraz się bardziej napełniają: ciężka praca, rolnika wzbogaca.

Gdy się to działo, ksiądz proboszcz i dziedzic Zawiśla dokładali wszelkiego starania aby spalony kościółek mógł być jak najprędzej odbudowany.

Z lasów dworskich zwieziono drzewo, ksiądz proboszcz za własne pieniądze skupował inne rzeczy do budowy potrzebne, a gdy to wszystko nie wystarczyło, cała gromada Zawiśla ze swej strony wedle możności przyczynić się musiała do tego pięknego przedsięwzięcia.

Jedni z kmieciów dawali pieniądze, drudzy zobowiązywali się dla chwały boskiej i własnych dusz pożytku darmo pracować przy budowie.

Widząc to Szymon postanowił także ofiarować Bogu pracę rąk swoich. Sam stwórca wszech rzeczy natchnął go tą szczęśliwą myślą, która ile była zbawienną wkrótce się pokazało.

Skoro tylko przyszedł do sił o tyle że mógł już robić siekierą, zaraz wziął się do pracy.

Od świtu do zmroku, przez cały dzień Boży pracował przy budowie, nie oszczędzając się bynajmniej i dopiero pod wieczór, gdy inni robotnicy śpieszyli na odpoczynek do gospody, on szedł na chwilę na cmentarz.

Takie życie czynne już dla tego jest najlepszem na wszelki smutek lekarstwem, że myśli człowieka rozrywa, więc też i Szymon, tak ciągle pracując, odzyskiwał po trochu dawną swoją rzeskość i wesołość.

Widząc to Halka, jako dobra siostra nieposiada się z radości i pragnąc szczęścia swego brata, różne zaraz robi układy względem jego dalszego losu i postanowienia o przyszłości, a niechcąc znowu rozstawać się z Szymonem, pragnęła aby się w Zawiślu ożenił. Było tam jak i wszędzie są, wiele dorodnych dziewcząt i Halka rada była aby Szymon pojął którą z nich.

Józef licząc już na to z pewnością, że Szymon na zawsze zostanie w Zawiślu chciał się z nim zawczasu układać o podział albo spłat gruntu i dobytku, on jednak ani słuchać o tem nie chciał, mówiąc że jeszcze na to dość czasu i odwlekał sprawę z dnia na dzień.

Minęło trzy miesiące od czasu jak Szymon tak nagle pojawił się w swojej rodzinnej wiosce Właśnie w tym czasie skończyło się lato i zaczęły się wyżynki.

W gospodzie brzmi muzyka, młodzież wycina hołubce, krzesze ognia w podkówki i wesoło przyśpiewuje grajkom.

Szymon na to wszystko obojętny, mimo próśb siostry i szwagra nie bierze udziału w pląsach, stroni od śpiewki i grania, pod kościół i na cmentarz ucieka. Ale przecie już tak jak dawniej nie wyrzeka, już się poddaje niedocieczonym wyrokom boskim i na grobie Zośki więcej się modli jak płacze.

Przytem też coraz więcej zastanawia się nad swoją przeszłością, rozważa jakiemi to drogami prowadzi go Pan Bóg i kędy one zmierzają.

Pewnego wieczora, gdy tak znowu według swego zwyczaju siedział i rozmyślał na cmentarzu, zawiał wietrzyk od Wisły, on się popatrzył w tę stronę, popatrzył na brzeg przeciwny, na równiny trzydniowskie.

Tam daleko, daleko, w zielonej kępie drzew bieliła się chata Jakóbów.

Szymon szukał oczyma owego wzgórka z którego dawniej poglądał na swą wioskę rodzinną; dostrzegł go niebawem, dostrzegł nawet i brzozę, z gałęziami smutno ku ziemi zwieszonemi, za którą kryła się Marynka gdy mu swojem natręctwem przykrości zrobić nie chciała; zdało mu się nawet że pod tą brzozą widzi jakiegoś człowieka, białogłowę też ku niemu poglądającą, zdało mu się że i ona go widzi i ręką znać mu o tem daje.

Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Marynką.

Byłażby to ona?

Serce mu się ścisnęło i łza w oku błysnęła Odwrócił się prędko, ukląkł na grobie Zośki i modlił się, a modlił się nie powiem serdeczniej ale znacznie dłużej jak zwykle, bo już dobrze ciemno było gdy klęczek powstał.

Jakby go coś przykuło do tej mogiły, lub jakby ją żegnał po raz ostatni nie mając jej już ujrzeć, oczu nie mógł oderwać od drewnianego krzyża utkwionego na grobie, a co

odszedł kilka kroków to się znowu wracał, patrzał na mogiłę, całował ziemię, łzami ją oblewał i modlił się.

Powstał wreszcie po raz ostatni, nacisnął czapkę na uszy i wyszedł z cmentarza.

Zwrócił się prosto ku domowi. Zbliżając się ku niemu posłyszał z daleka zalatujące go głosy Halki i Józefa którzy snać w trwodze o niego spać się nie kładli, jeno czekali aż powróci. Zdziwili się niezmiernie dostrzegłszy w Szymonie nie zwykłą zmianę. Był więcej poważny jak smutny i prosił siostry i szwagra by się jeszcze spać nie kładli bo ma im wiele rzeczy powiedzieć. Zrobili mu to chętnie, ale o czem gadali, i co z tego wynikło, o tem miły czytelniku dowiesz się aż z późniejszego rozdziału.

Właśnie w tym czasie skończyło się trzydzieści dni, które Szymon ofiarował się odrobić przy budowie kościoła.

VIII.

Powiadają że kiedy się człowieka bieda uczepi to zawsze odrazu i rękami i nogami; jakoż prawdę powiadają, bo widzimy między sobą wielu takich, którzy się biedzie na żaden sposób opędzić nie mogą. Snać się ich ona dobrze trzyma. Ale dajmy pokój biedzie, nie budźmy licha kiedy spi, a weźmy się raczej do dalszego ciągu naszego opowiadania.

Czas nam powrócić do Trzydniowa i obaczyć co się dzieje z naszemi dawnemi znajomemi.

Już jesień nastała, liście na drzewach pożółkły i wiatr harce wyprawia na ściernisku. W chacie Jakubów smutno jak i na polu. Odkąd nie stało Szymona, znowu wszystko oporem idzie, roboty leniwo postępują a nim grosz jaki przybędzie do kieszeni gospodarza dziesięć innych pierwej wysypać trzeba. Jakuba znowu i to na dobre czepiła się bieda.

A Marynka?

Zdawało się że po odejściu Szymona wkrótce dostanie męża, ale tak się nie stało, bo młodzież wioskowa postanowiła zemścić się na niej za to że póki miała Szymona ani gadać do nikogo nie chciała i teraz nawzajem żaden z parobków do niej nie zagadał, a tem bardziej nikt nie myślał o wysłaniu

swatów. Owszem wzięli ją ludzie na języki i Bóg nie wie co na nią i na Szymona wygadywali, Bóg nie wie jakim powodom przypisywali jego nagłe zniknięcie z Trzydniowa.

Marynka tak postępowała jakby o to nie dbała, a nawet odzywała się z tem głośno, że nie pójdzie za żadnego trzydniowskiego parobka choćby jej złote góry obiecywał.

Domyślili się rodzice że skoro Marynka nie chce iść w Trzydniowie za mąż, to musi mieć nadzieję, że się z nią ktoś inny ożeni, naprzykład Szymon, tem bardziej gdy na wielkie swoje zmartwienie postrzegli że Marynka tęskni za nim, że się spodziewa jego powrotu, że codzień wybiega na ów pagórek na którym on niegdyś siadywał i ztamtąd za nim czy nie za nim omal oczu nie wypatrzy. Znając w części historyę Szymona, nie spodziewali się aby wrócił, pragnąc więc szczerze jeszcze za swego życia wydać Marynkę za mąż dla jej własnego dobra, martwili się tem że innych odstręcza nie mając o Szymonie żadnej pewności. Dziwiła ich mocno tęsknota Marynki za nim i nie pojmowali zkąd się jej wzięła, nie przypuszczali jednak aby Szymon mógł był dziewczynę bałamucić, skoro im wyraźnie powiedział, że się z nią żenić nie będzie, bo nie może, i skoro ją nareszcie tak niespodziewanie porzucił; nie przypuszczali aby jej robił jakie obietnice i ona sama przyznawała że jej nigdy nic nie obiecywał, że ona i za niego pójść nie myśli, i sama nie wie dla czego spodziewa się jego powrotu.

— Może to źle, albo ja wiem, moi ojcowie drodzy, może to bardzo źle że ja go się spodziewam, tłumaczyła się Marynka; ale ja temu niewinna, dalibóg niewinna; zawsze jakby mi o nim coś do ucha szeptało, co noc śni mi się o nim, a ile razy bryś zaszczeka, czy to we dnie czy w nocy, to we mnie drga wszystko i zrywam się do okna bo mi się zdaje że to on już idzie.

Westchnęła.

Oj smutna moja dola! ja tu tęsknię za nim i wyglądam go bez ustanku a on tam gdzieś daleko między swoimi w szczęściu, może ani pomyśli o powrocie. Nie, nie, to być

nie może, znowu mi coś szepło do ucha że go jeszcze zobaczę. Och on wróci, pewnie wróci.

Słysząc ją tak mówiącą Jakubowie sami nie wiedzieli co począć. Żałowali dziewczyny, litowali się nad nią i podzielali jej cierpienia, więc nie chcieli odbierać jej nadziei; ale z drugiej strony, patrząc na świat trzeźwą myślą i doświadczeńszem okiem, mieli sobie za obowiązek czuwać nad losem ukochanego dziecka, w którem widzieli jedyną swoją na tym świecie pociechę. Ale jakżeż jedno z drugiem pogodzić? Nie chcieli jej odbierać nadziei aby nie wyrzekała że zamiast ją pocieszyć serce jej rozdzierają, nie chcieli aby ich przestrogi lodem się jej wydały, bo młodym co dopiero żyć zaczynają wszystko jest lodem, każden wyraz rozważny obojętnością zowią, gdy się nie zgadza z ich nadziejami, życzeniami i pragnieniami; więc nie ganili jej tego że tak ni ztąd ni z owąd ciągle o Szymonie myśli ani po niej tego wymagali aby o nim zapomniała, poznali bowiem że to byłoby niepodobieństwem, że Marynka kocha Szymona całem sercem, choć sama o tem nie wie. Ale przestrzegli ją łagodnie i opowiedzieli jako dawniej sami pragnęli wydać ją za Szymona i byliby chętnie wydali gdyby nie to że on sam nie chciał tego.

Rodzicielskie przestrogi były całkiem daremne. Czem człowiek zajęty, czego pragnie, tego mu z pamięci żadna przestroga, żadna uwaga i rada, nie wytrąci. Namiętnością uniesiony, jakby olśniony, nic nie widzi, nie słyszy, nie wierzy. Jestto natura i słabość ludzka. Tak też było z Marynką.

— Alboż to ja myślę że on się będzie ze mną żenił? mówiła: Broń Boże! broń Boże! mnie to ani w głowie. Ja nigdy za nikogo nie pójdę, ani nawet za niego. Gdzieżby się też on mógł ze mną żenić! Oj, nie takiej to on żony godzien. Ale dla niego nie ma żony na świecie, żadna go niewarta i on się z żadną żenić nie powinien. Ja go tylko jak brata kocham, jak brata codzień widzieć bym rada, i jak od brata czasem wesołe słówko, czasem pochwałę usłyszeć. Tego ja tylko pragnę, to bym tylko mieć chciała, o! i pewno mieć będę, bo Szymon wróci, obaczycie że wróci.

Tymczasem dnie i tygodnie mijały, a Szymona jak nie było, tak nie było. Nadaremnie tęskni za nim biedna Marynka, nadaremnie codzień wybiega pod wieczór na on wzgórek nad Wisłą i ztamtąd jego powrotu wygląda. Nieraz jej się ściśnie serce z żalu i tęsknoty, nieraz biedaczka omal oczu nie wypłacze — wszystko to nadaremnie, nadaremnie. Ach! cóżby nie dała za to, by się ptaszkiem stać mogła i na skrzydełkach za Wisłę przelecieć. Czasem na drugiej stronie rzeki ujrzy cień jakiś, niby postać ludzką, ku niej zwróconą: długa chwila mija, a postać owa stoi nieruchoma, i jak się Marynce wydaje ciągle na nią pogląda. Marynka się zrywa, wytęża wzrok w tę stronę: nic nie widzi, nic rozpoznać nie może, ale wmawia w siebie że to postać znajoma, że to on! Szle mu dłonią pozdrowienie, prożbę o powrót, nawet pocałunek... postać znika. Znika, lecz po to tylko, aby powrócić następnego wieczoru i znowu jak wczora uwodzić biedne dziewczątko, co już doprawdy rady sobie dać nie mogło.

(Dokończenie nastąpi.)

Dno morskie.

Jakkolwiek woda morska jest jasna i przeźroczysta, nie wszędzie jednak oko dna jego dosięga, z przyczyny niesłychanej gdzieniegdzie głębokości, niepodobnej prawie aż dotąd do zgruntowania. Doświadczenia z ołowianką lub kotwicą na silnej linie utwierdzonemi, nie okazały się odpowiedne zamiarowi, bo konopie jako lżejsze od wody, pływają w niej, albo je woda unosi. Lina bowiem konopna do pewnej głębokości spuszczona w wodę, pływa w głębi wraz z umocowanym do niej ołowiem lub żelazem; przekonano się zaś, że lina 40 do 50 cali obwodu, czyli 12 do 16 cali średnicy mająca, może 70 cetnarów ważącą kotwicę unieść, i z nią w głębi unosić się po wodzie. Chociaż żelazo 7 razy jest cięższe od wody, użyto go jednak na próbę zamiast liny konopnej, biorąc w tym celu drut i kuty łańcuch żelazny, okazało się wszakże, że ten z cienkich nawet ogniwek złożony, jeżliby np. na jeden sążeń ważył tylko funt jeden, to tysiąc sążni takiego łańcucha wy-

nosiłyby 10 cetnarów, którychby wierzchnie na powietrzu nad wodą będące ogniwko, udźwignąć nie zdołało. Na miernej przeto grubości linie z stósunkowym u jej końca ciężarem, udało się nareszcie wymierzyć głębokość morską, jedną milę czyli 4000 sążni wynoszącą; można jednakże nie bez prawdopodobieństwa utrzymywać, że na niektórych miejscach jeszcze jest niższe dno morskie.

Czy w takiej głębi mógłby się człowiek zanurzyć?

Zaledwie może; bo ciśnienie wody nad taką głębokością jest niesłychanie wielkie. Wystawmy sobie słup wody na stopę kwadratową gruby, a 4000 sążni wysokości mający, ten ważyłby przeszło 1300 cetnarów, i takimto ciężarem cisnąłby ów słup na stopę kwadratową; a więc dla zanurzenia się o kilka sążni pod wodą, musiałby człowiek, którego ciało jako lżejsze od wody, w niej się unosi, przywiązywać sobie do nóg kamienie lub żelazo, żeby na dół opadał. Spuszczanie się przeto na dno morskie na 4000 sążni głębokie, z wielu trudnościami jest połączone, bo przymocowane do ciała ludzkiego stósowne, a zatem ogromne ciężary, rozerwałyby je w kawałki; a nadto, jakże wstrzymać oddech w czasie spuszczania się i wypłynięcia na powierzchnię wody? Jak znieść ciśnienie olbrzymiej masy płynnego żywiołu? Dla jaśniejszego poznania tego niepodobieństwa prawie, przypatrzmy się próbom nurków na płytkich miejscach morza poczynionym.

Morze na dnie swojem wielkie ukrywa skarby, które pomimo wszelkich trudności i niebezpieczeństw, wzbudzały w człowieku pragnienie pozyskania bogactw podmorskich. Tu bowiem nęciły do siebie piękne czerwone korale, za ozdobę służące; tu wabiła miłej barwy perła w muszli zawarta, a wyżej od drogich kamieni i złota ceniona. Nierzadko też w czasie rozbicia się wśród burzy okrętu, znaczne skarby i kosztowności w morzu tonęły, a wtedy dla odzyskania ich choć w części, żadne nie zrażały niebezpieczeństwa. Na płytszych miejscach biegli pływacze, zanurzali się odważnie, i nabywali przezto zręczności, ośmielającej ich do puszczania się na większe głębiny. W tym celu brali ze sobą kamienie, z któremi szybko

na dół opadali; poczem bez odetchnienia jak najspieszniej muszle i korale zbierali do kosza, po kilku zaś krótkich chwilach wyciągano ich z dobytym łupem na powierzchnią wody. Nurkowie inne jeszcze odbywają prace; głęboko bowiem w dnie morskiem zagrzęzłe kotwice, wyciągać ułatwiają; używani są także przy zakładaniu fundamentów wodnych budowli itp. ale że dłużej pod wodą zostawać nie mogli, przemyślano więc nad sposobami ułatwienia im wolnego oddechu, przy dłuższem cokolwiek zatrzymaniu się na dnie Oceanu. Wcale proste doświadczenie naprowadziło na sposób oddech ułatwiający. Kiedy dnem do góry przewróconą szklankę do wody wstawimy, to ona się nie zapełni nią zupełnie, bo zawarte w szklance powietrze, ustępuje wprawdzie pod naciskiem płynu do pewnej wysokości, ale już dalej posunąć się mu nie dozwala. Tak więc wielki dzwon szklanny lub blaszany spuszczony do wody, nie mogąc się nią zapełnić, dozwala nurkowi odetchnąć w górze dzwona pozostałem powietrzem, dopóki się to nie zepsuje. Ta myśl naprowadziła do urządzenia dzwonu dla nurków właściwego. Stósownie do ich potrzeby, od góry z boku metalowego dzwonu, umieszczono jak okienko dobrze okitowaną grubą szybę przy krawędzi zaś tegoż dzwonu, utwierdzono ławkę do siedzenia dla nurka, i spuszczano go do wody. Zawarte jednak w dzwonie powietrze psuło się przez dłuższe niem oddychanie, trzeba więc było o wpuszczeniu świeżego do dzwonu powietrza pomyśleć. Na ten koniec przymocowano rurę do dzwonu od góry, połączoną z wężem jak u sikawek aż do okrętu, gdzie ciągle pompowano świeże do dzwonu powietrze, a zepsute poniżej ustępowało.

Później to urządzenie uległo jeszcze ulepszeniu, przez zamianę dzwonu na hełm, który szczelnie przylegający do ciała, wsadza nurek na głowę, i patrzy przez szybki, jak przez szkła okularów. Za pomocą jednej rury pompują powietrze na okręcie do hełmu, drugą zaś wyciągają zepsute; przezto nurek ma ręce i nogi wolne, a pancerz metalowy utrzymuje go na dnie morskiem, w czasie jego zatrudnienia.

Niemiły to pobyt na tym niskim gruncie zbiorowiska wód, wśród gwałtownego ciśnienia zgęszczonego powietrza, którem

nurek oddychać musi i nieswobodniej człowiekowi pod wodą, jak rybie na lądzie; jednakże pomimo tego zanurzający się w morzu, w tem niezmierzonem podwodnem państwie, nie mało różnym napatrzyli się osobliwościom. Nietylko opowiadają nam oni o srebrzystych rybach, o rozliczną barwą lśniących rakach morskich, promieniakach, pławach i mięczakach, o niezliczonej postaci koralach, o różnofarbnych muszlach i ślimakach, ale i o zadziwiającej a właściwej wodnemu żywiołowi roślinności, bo jak mówią nurkowie, niezmierne dna morskiego przestrzenie zalegają mnogie rodzaje traw morskich, porostów wodnych, tu one stanowią pewien rodzaj lasów odwiecznych, puszcz i knieḯ a tam przedstawiają rozległe łąki i pastwiska. Rośliny morskie po większej części wzbijają się od dna samego, aż nad powierzchnią morza w postaci wstąg już szerokich, już wązkich, i to w najrozmaitszych kolorach. Między temi pływającemi w wodzie nitkami, rurkami, wstęgami, uwijają się igrające ryby tak podobnie, jak tu na lądzie wesołe ptactwo buja po gałęziach drzew zielonych lasów.

Wszędzie aż do głębin morza, świat jest piękny i uroczy!

Różności.

Staropolska przypowieść.

W Polsce nie braknie żelaza do broni,
Ani rycerstwa do koni;
Nie braknie żyta, ani lnu, pszenicy,
I pełnej wina szklanicy.

Zdanie z dawnego rękopismu.

U konia stawaj z przodu, u armaty stawaj w tyle, u stołu siadaj w pośrodku, a w hałasach i zwadach, jak najdalej. Bo koń z przodu nie uderzy, a armata z tyłu; w pośrodku stołu każdej potrawy dosiężesz, a daleki od zwady guza nie oberwiesz.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski, pierwszy kardynał polski rzekł Władysławowi gardzącemu ubogo ubranym: Miłościwy królu! tak w purpurze jak i w pakłaku, jedna wełna.

To pan, co chciwość utrzyma na wodzy.

Kłamcy i prawdę potem mówiącemu, nikt nie wierzy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.